



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

STO LAT TEMU NAD NILEM.



I.

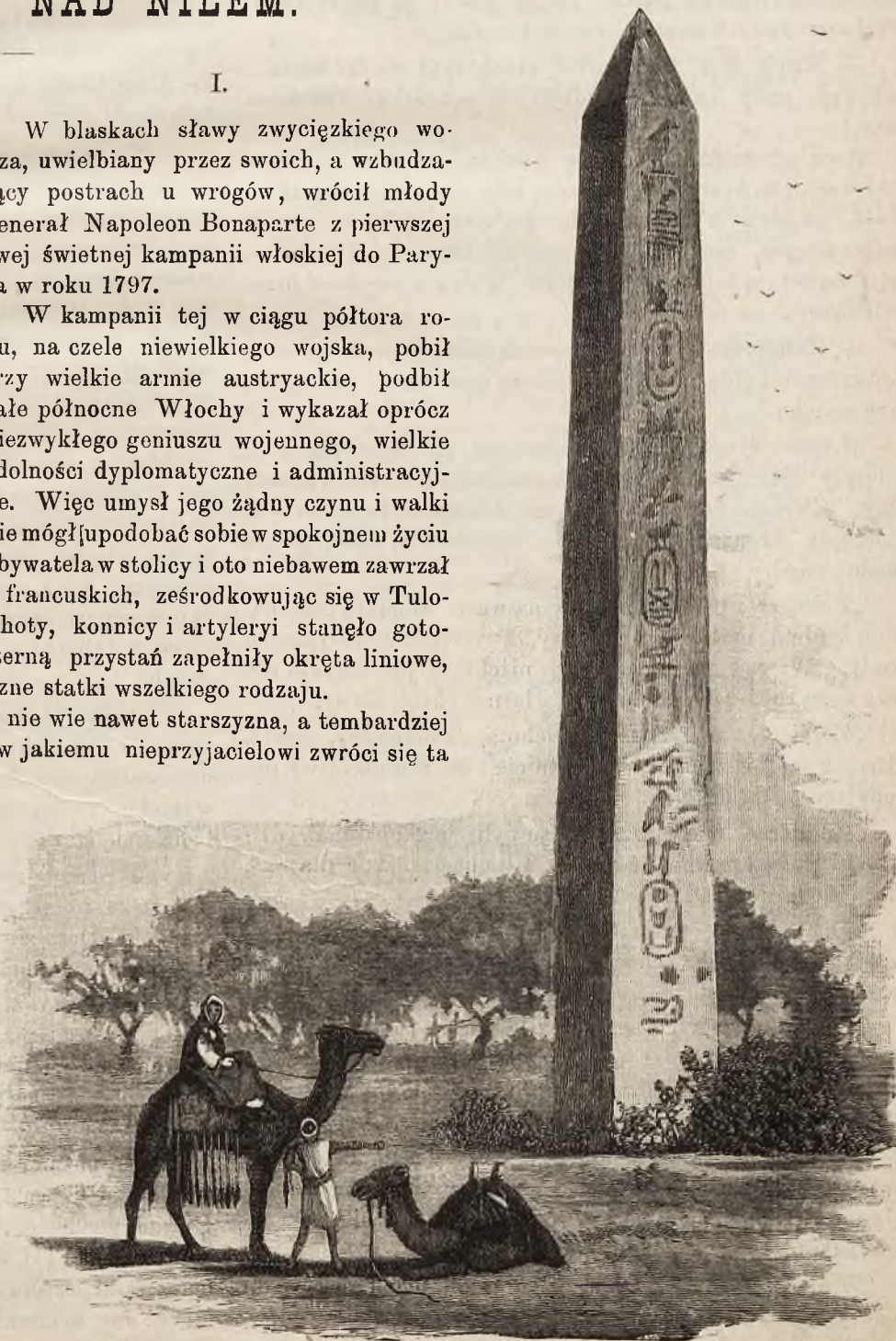
W blaskach sławy zwyciężkiego wodza, uwielbiany przez swoich, a wzbudzający postrach u wrogów, wrócił młody generał Napoleon Bonaparte z pierwszej swej świetnej kampanii włoskiej do Paryża w roku 1797.

W kampanii tej w ciągu półtora roku, na czele niewielkiego wojska, pobił trzy wielkie armie austriackie, podbił całe północne Włochy i wykazał oprócz niezwykłego geniuszu wojennego, wielkie zdolności dyplomatyczne i administracyjne. Więc umysł jego żądnym czynu i walki nie mógł upodobać sobie w spokojnem życiu obywatela w stolicy i oto niebawem zawrzał

ruch nadzwyczajny we wszystkich portach francuskich, ześrodkowując się w Tulonie, gdzie tysiące dzielnych żołnierzy: piechoty, konnicy i artylerji stanęło gotowych na rozkazy głównego wodza, a obszerną przystań zapełniły okręta liniowe, fregaty, korwety, szalupy kanonierskie i liczne statki wszelkiego rodzaju.

Nie wie jednak dotychczas wojsko, nie wie nawet starszyzna, a tembardziej naród cały i zaniepokojona Europa, przeciw jakiemu nieprzyjacielowi zwróci się ta najlepsza część siły wojskowej młodej Rzeczypospolitej francuskiej; gdzie także rozwinąć zwyciężkie sztandary śmiały Bonaparte.

Plan bowiem ułożonej kampanii pozostał, ze względów politycznych, tajemnicą między rządzącym wówczas Francją Dyrektoryatem a samym generałem, który z tą nadzwyczajną czynnością i energią, jaką okazywał zawsze w wykonaniu wielkich swych zamiarów, wziął się i teraz do dzieła. Mając przyznane do rozporządzenia ze skarbu państwa cztery i pół miliona franków, dobiera żołnierzy, oficerów, generałów, zaprasza uczonych i inżynierów, gromadzi robotników i rzemieślników, podczas gdy wyznaczona



przez niego komisya zwiedza porty, uzbraja flotę, dostarcza zapasów żywności, broni i amunicyi.

Najsławniejsze nazwiska ówczesnej Francyi łączą się do wyprawy.

Oto wyniosła postać nieocenionych zdolności i wielkich już zasług generała Klebera; obok niego stoi waleczny i uczony generał Caffarelli-Dufalga, wspierający się na drewnianem szczudle od czasu utraty nogi nad Renem; dalej generałowie: Bon, Vaubois, Regnier, Menon, Dugua i adjutanci: Murat, Launes, Belliard, Dummartin wreszcie Polak Sulkowski; z dziedziny zaś nauki i sztuki: Monge, Bartholet, Fourier, Dolomieux, Degenette, Larrey, Dubois. A każdy z nich czuł się szczęśliwym, iż dąży podzielić losy młodego generała.

Już wielotysięczna armia zwana włoską stoi w Tulonie, ta sama, która śladami Hanibala przekroczyła Alpy, zdobywając poza niemi imię niewyciężonej.

Gdy po ośmiomiesięcznej rozłące, ujrzeni teraz dzielni żołnierze ubóstwianą postać swego generała, zapal wielki ożywił marsowe ich twarze, a gromkie okrzyki:

— Niech żyje Bonaparte, niech żyje wielki wódz!... niech żyje mały kapral! — odbiły się echem na dalekiem morzu.

A on przeczekawszy burzę powitania z tym spokojem niewzruszonym, który magnetyczną siłą ujarzmił wszystkich dokoła, przemawia w słowach godnych wielkiego swego przedsięwzięcia, nie uchylając wszakże tajemniczej jego zasłony, nawet w tej ostatniej chwili, w chwili żegnania brzegów Francyi.

— Żołnierze — mówi — prowadziliście wojnę w górach, na równinach i obłężniczą. Pozostaje nam teraz prowadzić wojnę morską.

„Legie rzymskie, (ale jeszcze im nie dorównaliście), zwalczyły Kartaginę kolejno na tem morzu i na równinach Zamy. Zwycięztwo nigdy ich nie odstępowało, ponieważ ciągle były odważne, cierpliwe w znoszeniu trudów, karne i zgodne między sobą.

„Żołnierze, Europa patrzy na was! Wielkie przeznaczenie spełnić macie: toczyć bitwy, zwyciężać nieprzyjaciela i trudy. Więcej uczynicie teraz, niżeliście już uczynili dla dobra ojczyzny, szczęścia ludów i własnej naszej sławy.

„Żołnierze, marynarze, piechota, kanonierzy, jazda, bądźcie z sobą w zgodzie, pamiętajcie, że w dniu bitwy potrzebujecie jedni drugich.

„Żołnierze, marynarze, dotąd byliście zaniedbani, dzisiaj największa troskliwość rzeczypospolitej będzie dla was, bądźcie godni armii, której część składacie.

„Duch, który uczynił rzeczypospolitą od samego jej początku, panią lądu, chce aby ona była panią mórz i narodów najodleglejszych!”

Nareszcie wschodzące słońce 19 maja 1798 roku oblało złotemi promieniami 500 rozwiniętych żagli w porcie tulońskim. Był to pamiętny dzień odjazdu największej floty, jaka kiedykolwiek pokryła wody morza Środiemnego.

Przy huk salw działowych, okrzykach zebranego u brzegów ludu i dźwiękach pieśni narodowej, Marsylianki, ruszyły jedne za drugimi ciężkie i poważne statki, niby olbrzymie ptactwo zrywające się do lotu.

W ślad za sześcioma fregatami należącemi niegdyś do Wenecyi i ośmiu francuskimi, płynie wielka eskadra admi-

rała Brueys'a, składająca się z trzynastu okrętów liniowych, z których olbrzymi „Orient” o 120 działach wiezie naczelnego wodza. Dalej ruszają dwa okręty weneckie o 64 działach, dwie korwety, liczne kutry i szalupy, a płynące te gmachy unoszą razem 40.000 żołnierza i 10,000 marynarzy.

Wszelako wiatr gwałtowny, utrudniający pierwsze ruchy, okazuje się przyjaznym, zmuszając Nelsona, angielskiego admirała, do usunięcia się ze swoją flotą dla naprawy poniesionych uszkodzeń aż ku wyspom Saint Pierre.

Nieprzyjaciół więc, przed którym strzeżono tak pilnie tajemnicy celu wyprawy, ten nieprzyjaciół, czyhający tu na jej zgubę, nie widzi nawet wyruszającej floty.

Jest to jakby zapowiedzią dalszych powodzeń.

I niebawem rozchodzi się wieść wśród płynącej armii, wieść przyjęta z niezmiernym zapalem, że wspaniały Egipt, że bogaty Wschód ma stać się polem walk jej i trudów, że wielki wódz, któremu Europa zbyt ciasną się wydała, zapragnął uszczknąć listek wawrzynu w prastarym kraju Faraonów i podążyć bohaterskimi śladami Aleksandra, Cezara i Marka Antoniusza, by zapisać swe imię na piramidach, gdzie byli tamci zapisani.

Nie sama wszakże sława wojenna kieruje w te odległe strony oręż Bonapartego. Bo gdy w polityce zwycięskiej już rzeczypospolitej zaważyła mocno kwestya pogiębienia Anglii, tej odwiecznej nieprzyjaciółki Francyi, generał nie uważał jeszcze chwili za odpowiednią, by uderzyć na nią bezpośrednio, lecz zamyslił tymczasem zadać jej cios bolesny przez zajęcie Egiptu i opanowanie morza Środiemnego, na którem coraz większą brała przewagę. Czynem tym śmiałym zamysłał równocześnie zyskać nieobliczone korzyści dla Francyi. Przy stosownym bowiem zarządzie Egipt mógł stać się łatwo punktem środkowym komunikacji i handlu ze Wschodem, bez dalekiego okrażania przylądka Dobrej Nadziei. Porozumienie w tym celu z Turcyą nie miało przedstawiać wielkich trudności, Egipt bowiem dla niej był już od dawna straconą prowincją z powodu, iż główną władzę dzierżyli w niej niekarni lecz bitni Mamelucy. Należało tylko zachować tajemnicę przed zainteresowaną w tem najwięcej Anglią.

Doniosłość zajęcia Egiptu zjednała Bonapartemu oporny zrazu Dyrektoryat, który też w końcu udzielił mu zupełnej swobody działania, ufając jego geniuszowi, i ciesząc się w duchu, że popularny a zdolny wódz zdała od Francyi nie będzie się starał o pozyskanie naczelnej władzy w kraju.

W dwadzieścia dni po opuszczeniu Tulonu eskadra francuska, połączywszy się z mniejszemi oddziałami generała Vaubois i Desaix'a, którzy wypłynęli z Genui, Ajaccio i Civita-Vecchia, stanęła u skalistych wybrzeży wyspy Malty.

Leżało bowiem w ogólnym planie całej wyprawy zajęcie tej wyspy, która stanowiąc ważny nader punkt strategiczny i handlowy na morzu Środiemnem, niechybnie dostałaby się wkrótce w ręce Anglików, gdyby ich nie uprzedzono.

Powstały w czasie wojen krzyżowych zakon rycerzy św. Jana, później kawalerów Rodyjskich, otrzymał w 1530 r. od cesarza Karola V wyspę tę w lenność i obrał tu sobie główne siedlisko, przybierając nazwę Kawalerów Maltańskich. W XVIII w. stracił on już właściwy cel swego istnienia—walki przeciw nieprzyjaciołom wiary Chrystusowej, i utracił też swe znaczenie i siłę. W beczynnem bowiem używaniu

licznych dochodów ściąganych z przynależnych im dóbr w różnych krajach Europy, zniewieścili rycerze zaniedbali w zupełności sztukę wojenną.

M. D.
(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy.)

— To tylko fornir z drzewa, mający nam służyć za posadzkę — odparł profesor, zatrzymując się przy okrągłych, poziomo w pokładzie umieszczonych drzewczkach.

— Nie będziemy przecież zawsze — dodał — bujać po powietrzu lub błądzić po dnie morskiem. Wypada nam tak że robić wycieczki po wodzie i w tym celu przygotowałem kilka łodzi. Jedną z nich zaraz panom pokażę

To mówiąc, otworzył drzwiczki, nacisnął znajdującą się pod nimi sprężynę i jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki, usunęła się kłapa i ukazała ozdobna łódź zawieszona na linach.

— Brawo, profesorze! — zawołał Mildmay — urządzenie to bardzo dowcipnie; ale co znaczą te cztery zagięte rury zwrócone w dwie przeciwne strony?

— Służą one za motor, popychający łódź naprzód. Zbudowana z etereum, jest ona bardzo lekka i mało zanurza się w wodzie. Cała jej maszynerya składa się z pompy o trzech cylindrach, która wyrzucając z impetem wodę w dwie przednie rury, posuwa ją naprzód z szybkością 12 węzłów na godzinę, lub nadaje mu równie prędkie ruch wsteczny, jeśli pęd wody skierowany na rury tylne. Sądzę, że ta szybkość okaże się dla nas dostateczną.

Po wsunięciu napowrót łodzi do kryjówki, profesor poprowadził towarzyszy swoich do kajuty, zajmującej środek pokładu. Była to dość duża, okrągła przestrzeń z kilku okienkami, ale bez drzwi widocznych.

— Jakto, profesorze! zbudowałeś kajutę sternika bez wejścia do środka? — zawołał baronet, odzyskując dobry humor na myśl, że za swoje pieniądze będzie posiadaczem „ryby latającej”, która choćby nie latała po powietrzu, odznacza się jednak osobiwszem urządzeniem.

— Odgadłeś pan trafnie, że to kajuta sternika — odparł profesor — mylisz się tylko, przypuszczając, że niema do niej wejścia.

To rzekłszy dotknął lekko jedną ze ścian, w której ukryte drzwiczki odemknęły się natychmiast.

— Z ciebie widzę czarodziej prawdziwy — zawołał pułkownik — w jaki to sposób urządziłeś?

— W sposób bardzo prosty — odpowiedział profesor — każdego z was nauczyć muszę, gdzie szukać sprężyny i jak sobie z nią radzić.

Gdy wszyscy umieli już otwierać tajemnicze drzwiczki, profesor zaprosił towarzyszy do środka kajuty, mającej jakby dwa piętra. Szerokimi schodami wyłożonemi dywanem, ze świecącą metalową poręczą, sprowadził ich na dół. Wprost głównych schodów znajdowały się mniejsze, prowadzące na okrętowaną wystawkę dokoła domku sternika, ułatwiającą porozumiewanie się ustne osobom, znajdującym się na górnym i dolnym piętrze. Przez kratę widać było różne maszyny i przyrządy, których znaczenie podróżni poznać mieli i tu również poprowadził ich profesor.

Pierwszy przedmiot, jaki zwrócił ich uwagę, była sztaba z etereum idąca przez oba piętra.

— Jest to najważniejsza część całej maszyneryi — tłumaczył profesor — niby ster okrętu. Można nakierować ją

w różne strony, a łączy się ona z głównym motorem ruchu, jak się o tem zaraz przekonacie.

Idąc za radą profesora, trzech towarzysze, wyrzawszy przez kratę, widzieli jak za każdym poruszeniem sztaby, oś główna statku ze śrubą odmienny przybierała kierunek. Obok znajdował się kompas szafkowy, a dalej cyferblat, kontrolujący ruch maszyny.

— Ten przyrząd — objaśniał profesor — jest regulatorem ruchu, jak w lokomotywach. Korba postawiona prostopadle zatrzymuje maszynę; obrócona naprzód, daje ruch postępowy, a zwrócona w tył — ruch wsteczny. Równie prostem jest oznaczenie na tym cyferblacie stopni ruchu według podziału z napisami: „Spokój” „ $\frac{1}{4}$ szybkości” „ $\frac{1}{2}$ szybkości” „cała szybkość,” określający prędszy lub powolniejszy bieg statku, niemniej jak jego kierunek według wskazówek: „naprzód” „w tył.”

A co znaczy ten rodzaj wahadła? — zapytał pułkownik.

— To nowy mój wynalazek — odparł Karliński — regulujący ciężar czyli balast statku, gdy szybuje po powietrzu. Łatwo zrozumieć, że jeśli statek puszczoney będzie w powietrze bez odpowiedniego ciężaru, to najmniejsza drobnostka może zachwiać jego równowagę; starczyłoby przejście którego z nas z jednej strony pokładu na drugą, aby statek pochylał się również w tę stronę, stracił położenie poziome i przekreślił się. Wahadło to wykazuje bezzwłocznie najlżejsze zboczenie od linii horyzontalnej i potrąca o jedną ze znajdujących się dokoła niego sprężyn. Wówczas odpowiednia maszynerya za pomocą prądu elektrycznego przywraca równowagę.

— Wybornie! Podziwiam przezorność twoją, profesorze. — A to co znaczy? — pytał dalej baronet.

— To sprężyna kierująca pompą powietrzną. Gdy zamierzamy spuścić się w głąb oceanów, zwróciwszy sprężynę naprawo, otrzymujemy przyływ powietrza do statku.

— Chyba chcesz raczej powiedzieć odpływ — zaprotestował baronet.

— Przeciwnie — dowodził profesor — statek nasz będzie się powietrzem wypełniał. Powietrze, jak każde inne ciało, ma swoją gatunkową ciężkość. Wszak pierze lekkie jest bardzo, a jednak poduszka niem wypchana, staje się ciężką. Chcąc przejść z powietrza pod wodę, najprzód napełniamy odpowiednie przyrządy powietrzem, następnie, gdy pływać będzie po wodzie i zanurzy się do $\frac{1}{3}$ wysokości, wówczas wstrzymamy tłok pompy powietrznej, a otworzywszy klapy rur wodnych napuszczamy do innych przegród tyle wody, że pod jej ciśnieniem statek zatoni i znajdzie się pod wodą na dowolnej głębokości.

— Te krany z napisami, które widzicie w kajucie sternika — ciągnął dalej profesor — otwierają i zamykają klapy rezerwoarów wodnych i powietrznych. Ta zaś puszka mieści przyrząd do zapalania torped.

Baronet ruszył znacząco ramionami i spojrzał na towarzyszy, jakby chciał powiedzieć: co on tam jeszcze wymyśli!

— Doskonale, profesorze — odezwał się porucznik — w razie potrzeby mamy środki prowadzenia walki na morzu. Gdzież jest jednak skład na torpedy? Nie pokazałeś nam go gdyśmy zwiedzali środek okrętu.

— Bo nie miałem nic do pokazania — odparł profesor. — Rzecz całą zaraz wam wyjaśnię: Stożkowaty koniec przedni, czyli dziób naszego statku jest ruchomy; gdy potrzeba wyrzucić torpedę, część ruchoma się usuwa, nabój wkłada się w otwór i zapala. Nadto mamy dwie armatki z etereum, umieszczone w burcie okrętowej i sześć wybornych karabinów, wynalazku jednego z moich przyjaciół: mogą dać sześćdziesiąt strzałów na minutę, o ile są zaopatrzone w naboje. Prócz tego jeszcze przygotowałem znaczną ilość zwykłych strzelb, pałaszy, lanc, pistoletów, słowem wszelkiego rodzaju broni jaka nam może być potrzebną w zaczepnej i odpornej walce

Teraz panowie, zechciejcie przypatrzeć się urządzeniu maszyneryi wewnętrznej, która to wszystko porusza.

Po szczegółowym obejrzeniu maszyn, kotłów, tłoków i t. p., które tylko dobry mechanik zrozumieć by potrafił, udali się do innego oddziału, na którego drzwiach był napis: „Dla nurków.”

Wszedłszy, znaleźli się w sali, około dwadzieścia stóp szerokiej z czterema przedziałami nad którymi wypisane było: Sir Reginald Elphinstone, pułkownik Lethbridge, porucznik Mildmay, profesor Karliński.

— Tu czynić będziemy przygotowania do naszych wycieczek podmorskich — tłumaczył profesor, a otwierając jeden z przedziałów, dodał: — Oto są ubiory, których w takich okolicznościach używać mamy. W szafie wisiało zwykłe kauczukowe ubranie nurka, rodzaj tornistra, różne przybory i rozmaitego rodzaju broń.

— To chyba żart z twej strony, profesorze — zagadnął baronet. — Czyż musimy przypatrywać się rybom pod wodą uzbrojeni, jak średniowieczni rycerze?



Ś. p. ksiądz Franciszek Krupiński.

— Wytłomaczę to panu zaraz — odparł profesor. — W zwykłym ubraniu nurka człowiek może chodzić pod wodą zaledwie do głębokości 15 sążni, a nieco głębiej tylko w razach wyjątkowych. Cyfra jednak 15 sążni przyjęta jest za normę, z tego powodu, że poniżej ciśnienie wody jest tak silne, iż sprowadza napływ krwi do głowy, skutkiem czego następują ciężkie omdlenia a niekiedy nawet śmierć. Otóż gdyby nasze wycieczki podwodne ograniczać się miały tylko do 15 sążni głębokości, nie warto byłoby czynić tak kosztownej wyprawy. Obmyśliłem zatem rodzaj pancerzy, w których możemy bezpiecznie zwiedzać najgłębsze dna oceanów, dokąd tylko dotrze nasza „ryba latająca”. Pancerz ten, jak widzicie, składa się z drobnych blaszek z etereum, niby łuszek rybich, przystających szczelnie, a mimo to tak elastycznych, że zostawiają nurkowi wszelką swobodę ruchów, zabezpieczając od ciśnienia wody i dając płucom możność oddychania napływającym przez rury powietrzem.

Szykując się do wycieczki podwodnej, każdy z nas będzie potrzebował włożyć najprzód zwykłe kauczukowe ubranie nurka, na to dwa tornistry, z których tylny na plecach

mieści przyrząd z rurką, dostarczający świeżego powietrza, przedni zaś na piersiach zawiera podobny przyrząd odprowadzający zepsute, wytechnięte z płuc powietrze. W końcu nakładać będziemy na siebie pancerz i opaszemy się pasem. Z lampką elektryczną i sztyletem u boku. Sztylet ów, o podwójnem ostrzu, zatopiony w ciele jakiego potwora, nie tylko zrani go, jak nóż, lecz jednocześnie prześle silny prąd elektryczny, który zabije go jak piorun.

(d. c. n.)

Ś. p. ksiądz Franciszek Krupiński.

W dniu 16 sierpnia r. b. spoczął w Bogu zacny i rozumny kapłan, który przez ćwierć wieku był nauczycielem religii w IV gimnazjum męskim i miał liczny poczet uczni, którzy go szanowali i miłowali głęboko, bo wiele mu mają do zawdzięczenia. Kapłanem tym był ksiądz Franciszek Krupiński, rektor kościoła po-pijarskiego w Warszawie, znakomity kaznodzieja i filozof.

Urodzony w Łukowie w r. 1836 wstąpił młodo do zgromadzenia OO. Pijarów w Opolu i z wielkim zapałem poświęcił się nietylko studiom teologicznym lecz filozoficznym i przyrodniczym, to też wkrótce zajął poważne miejsce w rządzie pisarzy współczesnych, jako autor i tłumacz wielu dzieł poważnych. Z pod jego pióra wyszedł pierwszy zarys historii filozofii polskiej.

Młodość ukochał sercem całem, oświecał ją i utrwał ją gorliwie w zasadach wiary i moralności, a zarazem zachęcał do poważnej i pożytecznej pracy w życiu i dbał niezmiennie o rozwinięcie w niej logicznego, trzeźwego myślenia i poprawnego, jasnego wyrażania swoich myśli.

Na początku roku bieżącego za zezwoleniem władzy, grono byłych uczni jego powzięło myśl utworzenia stypendyumu imienia ks. Krupińskiego dla wychowańca gimnazjum IV-go, na co zbiera się już potrzebny fundusz. Gdy ciężko choremu powiedziano o tem, uśmiechnął się i wyszeptał: „po-czeiwe moje chłopaki.”

Liczne też grono „tych chłopaków,” starszych i młodszych odniosło i odprowadziło zwłoki ś. p. ks. Franciszka na cmentarz powązkowski 18 sierpnia r. b.

Noc sierpniowa.

(Dokończenie).

— Czy to naprawdę było? — spytał Romek.

— Tak, w r. 1868, ognisty aerolit przebiegł nad Warszawą, niemało ludziom napędziwszy strachu, i z wielkim hukiem upadł pod Pułtuskim. Od tego czasu z opowiadania wiemy, jak wygląda aerolit czyli bolid.

— Ale cóż to jest takiego?

— Zdaje się, iż są to niezbyt wielkie ciała, mniej więcej kulistego kształtu, które krążą jak planety naokoło słońca. Jeśli zbyt blisko ziemi przebiegają, przyciąga je i wtedy, lecąc przez powietrze, rozpalają się gwałtownie, pękają i spadają w postaci kamieni i odłamków, zawierających w sobie często czyste żelazo.

— Więc takie aerolity to niby małe ziemie? Czy takie, jak pomarańcza?

— Bywają i znacznie większe, po kilkadziesiąt, może i sto funtów, któż zresztą zgadnąć może wszystkie ich rozmiary.

— Chciałabym widzieć kiedy taki bolid — rzekła Marynia. — Jużym się teraz nie przestraszyła.

— Zahartowało panią moje opowiadanie?

— Rzeczywiście. Ach! ach! ach!

W tej samej chwili aż trzy jasne gwiazdy prawie z jednego punktu, niby łyż błyszczące, zsunęły się po niebie pomiędzy gwiazdami i zagasły tak szybko, że prawie niepodobna było na nie wskazać.

— Dwunasta, dzieci — odezwała się prawie jednocześnie matka, stając we drzwiach werendy.

a jednak wątpić trudno, iż niezwykle rzeczy dzieją się tam dziś w górze.

I gromadka widzów zachwycona, wpatrzona, o śnie zapomniawszy, bo któżby mógł spać w tę noc czarodziejską? I któżby wyrzec się mógł dobrowolnie widoku tego? Marynia w zachwycie ręce złożyła niby do modlitwy, Franek aż pobladł, patrząc i trzymając się mocno ręki swego opiekuna, Lutek brwi zmarszczył, jakby myśl natężał dla zrozumienia



STRASZNY WYŚCIG.

— O, mamó! teraz właśnie się zaczyna.

Istotnie, z każdą chwilą prawie więcej łyż srebrnych biegło w przeróżnych kierunkach, po usianem gwiazdami niebie. Był to cudowny widok. Zdawałoby się mogło, że obłąd jakiś opanował gwiazdy, że burza rozsiałała tam, pomiędzy niemi i strąca światy całe. Długie, proste szlaki krzyżują się i łamią na ciemnym błękitcie, cała sieć nici błyska, płacze się wzajem, wybucha jasnością i kona zaraz, a wszystko w milczeniu, bez najłżejszego szmeru ani huku,

tych cudów natury i Romek nawet stał cichy, poważny, doremnie śledząc w chaosie koleje gwiazd pojedynczych.

— Wpół do drugiej, dzieci, stanowczo żądam, abyście spać poszły.

— Mamó, najdroższa mamó!

— Nie, Maryniu, już widziałas, nic innego nie zobaczysz.

Chłopcy mrugnęli na siebie nieznacznie.

— Więc dobranoc, mateczko, idziemy na górę.

— Proszę mi tylko nie patrzeć z balkonu, bo się po-
przeziębiacie.

— Pan Adam jest z nami.

I odeszli szczęśliwi; Marynia została.

— Możesz nie spuszczać rolety i patrzeć z łóżka, póki
nie zaśniesz — powiedziała matka.

Pogasły światła, cisza, świat cały uśpiony, a tam na
niebie palą się gromady światel odwiecznych, giną światy
całe, powstają nowe, płoną nieznane nam słońca, grają potę-
gi nieznanych żywiołów, śmierć, życie, walczą, rodzą się, ko-
nąją pod skinieniem wszechmocnej ręki Pana światów, a ma-
luczki proch ziemski tą iskrą nieśmiertelną, którą go Stwór-
ca obdarzył, pragnie odgadnąć te wielkie tajemnice.

C. Niewiadomska.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Postanowił, że dotrze koniecznie do góry Łysej, choćby
miał się znowu narazić niewiedzieć na jakie niebezpieczeń-
stwo. Trzeba było tylko czekać wieczoru dnia następnego.

Na drugi dzień gdy słońce zaszło, Ładon osiodłał ko-
nia i pożegnawszy się z pocziwymi ludźmi którzy mu dali
opiekę postanowił puścić się w drogę. Wśród jednak nie wie-
dząc jak ich wynagrodzić za przytułek ofiarował sztukę złota
kobiecie. To poczęła z naiwnem zdziwieniem oglądać ją ze
wszystkich stron, wreszcie zawołała:

— Tóż się mały będzie cieszył, gdy mu dam taką cace!

Mąż poznał jednak, że to coś innego być musi niż caca
dla małego i rzekł, zwracając się do rycerza:

— Głupia niewiasta nie wie co to takiego; toć przecie
pewnie nie zabawka dla dziecka, a coś wedle uroków albo
może także obraz waszego boga? Ładon poznał wtedy, że
ci szczęśliwi ludzie nie wiedzą, co to pieniądze.

— Wyprowadzę was aż na drogę, bo nie wiecie którądy
jechać — odezwał się wieśniak po chwili, u nas to w puszczy
trzeba się urodzić jak ja, by znać wszystkie wertepy
i uroczyiska.

I wyprowadził go aż na drogę, żegnając słowami:

— Niech bogi was prowadzą.

W puszczy mrok zapadł już na dobre, ale na drodze
było jeszcze dość jasno. Ładon przypominał sobie w której
stronie widział wczoraj przed sobą górę Łysą; pamiętał do-
brze, że to było od zachodu, niby odbicie łuny kryjącego się
słońca. Puścił się więc i teraz w tą stronę. Góra Łysa znaj-
dowała się wprost w obranym przezeń kierunku. Musiało
być do niej ze trzy dobre godziny drogi na przełaj, jeśli oczy-
wiście nie znajdą się wąwozy, bagna, wertepy, które trzeba
będzie omijać.

W każdym razie miał jeszcze przed sobą noc całą.

Droga czas jakiś była dość znośną, lecz w końcu roz-
dzieliła się na kilka wązkich ścieżek, ginących w zaroślach.
Ładon stanął, namyślając się, którądy jechać, wreszcie pu-
ścił się ścieżką naprawo. Miesiąc jeszcze nie zeszedł i było
bardzo ciemno, ale koń kierowany instynktem, szedł, nie poty-
kając się nawet. Teraz i jeździec i koń obyli się z puszczą
i strachy jej nie budziły już w nich takiego przerażenia.

Ścieżyna wiła się w gąszczach, raz spuszczała się
w dół, drugi raz pnąc się po urwiskach skalnych, gdyż grunt
w puszczy stawał się coraz nierówniejszym i skalistym; głę-
bokie parowy co chwila zastępowały drogę, ale siwy dzielnie

je przebywał, wspinając się po urwiskach. Wszędzie po
drodze natrafiali na wypłuczyska, utworzone przez wiosenne
strumienie i zasypaane ostremi kamieniami.

Wreszcie grunt zaczął się znacznie podnosić, czuć było,
że wjeżdżają pod górę. W miejscu dębów i brzoź, ukazywa-
ły się sosny, modrzewie i świerki; po bokach wznosiły się dzie-
kie urwiska, porośnięte jałowcem; miejscowość przybierała coraz
bardziej surowy i groźny pozór. Ogromne rozłożyste buki
roztaczały swoje ciemne sklepienia, obok nich rosły świerki,
jakby zawieszane nad przepaścią, a gdzieś w ciemnościach,
pod osłoną krzewów, szumiał po kamieniach niewidzialny
potok.

Miejscami widać było wielkie głazy, rozrzucone na sto-
ku góry, która z każdą chwilą stawała się bardziej stromą.

Wkrótce Ładon wjechał w las jodłowy. Nad jego
głową roztoczyły się ciemne sklepienia, podobne do naw go-
tyckiej katedry. Olbrzymie, stuletnie jodły wznosiły się
wysoko, proste, wysmukłe i silne na kształt filarów, a wier-
chołki ich tonęły w niebiosach. Miejscami niektóre z nich
leżały, obalone przez wiatr, a korzenie ich sterczały wysoko,
zagradzając drogę jeźdźcowi. Cichy, przeciągły szum szedł
po wierzchołkach puszczy, to wzmagając się to słabnąc,
a w szumie tym było coś rytmicznego, niby jakaś pieśń wiel-
ka, potężna, szeroka, która płynęła w dal na skrzydłach wie-
czornego wiatru.

Ładon jechał rozpadliną, wrytą przez wiosenne potoki
i napełnioną ostremi kamykami, które kaleczyły nogi konio-
wi. Wkrótce jodły poczęły znikać a ukazały się świerki tak
gęste, że przez nie trudno było się przedrzeć. Pod gałęziami
ich spuszczać się horyzontalnie panowały straszliwe
ciemności, których żaden wzrok przebić nie mógł; w ciemno-
ściach tych co chwila coś się poruszało, szeleściło. Mimo-
wolny strach przejął duszą Ładona, gdy wjechał w owe dzie-
kie wertepy, tak jak gdyby miał popełnić jakieś święto-
kradztwo.

Wreszcie z pomiędzy drzew błysnęło światło. Ładon
sądził zrazu, że to świeci ognisko, rozpalone w lesie, i strzegł
się zbliżyć w tę stronę; by nie spotkać się z ludźmi, gdyż
prędzej mógł natrafić na wroga niż na przyjaciela, rozumiał
bowiem teraz, że poganie strzegli dobrze wstępu do swego
schronienia. Przekonał się jednak wkrótce, że to świeci
ogień na górze Łysej. Migotał wciąż przez gałęzie, zdawał
się gasnąć to znów zapalać; krwawy blask jego świecił
przez mgły, okrywające górę.

Tymczasem ponad drzewami wysunął się księżyc wiel-
ki, czerwony, jak tarcza, płynął po niebie, wzbijając się co-
raz wyżej, aż oblał wreszcie blaskiem całą dziką okolicę.

Ładon spostrzegł wówczas, że stoi u samych stóp góry
Łysej, i zatrzymał konia. Wszystko co dnem jeszcze słyszał
o tej strasznej górze, owe powieści o boginkach leśnych, ma-
jących strzedz do niej przystępu, wszystko to nagle stanęło
mu w myśli i zimny pot wystąpił mu na czoło, groza przejęła
serce dreszczem. Cóż jeśli nagle z za krzaków ukaże się
jakaś postać potworna, i straszna, coż jeśli wilkołak lub
zmora spojrzy nań krwawymi oczyma? Nadstawiał pilnie
ucha czy krzyk jaki nie rozedrze ciszy nocnej, lub czy nie
usłyszy gdzieś w dali srebrzystego śmiechu złośliwych bogi-
nek. Ale nie, dokoła wciąż trwało głębokie milczenie, prze-
rywane tylko głuchym szumem puszczy.

Przeżegnał się i poklepał siwego po szyi, mówiąc mu:

— No, stary druho, w drogę; strachy nie nam nie zro-
bią teraz.

— Mądre zwierzę, jakby zrozumiałwszy te słowa, ruszy-
ło z miejsca, drząc tylko lekko na całej skórze, jakby strach
czuło przed czymś nieznanem. Pan jego wciąż go zachęcał
głosem, co uspokajało nieco wiernego konia; obaj odzyskali
wkrótce odwagę. Ładon pomyślał, że jako rycerz chrześci-
jański, nie powinien się obawiać czarów ani pogańskich du-
chów, bo znak krzyża potrafi je wszystkie rozprościć. Zresz-
tą cisza, panująca dokoła, dodawała mu zaufania.

Nagle koń strzygnął uszami; Ładon począł się przysłu-
chiwać; jakieś dalekie okrzyki rozlegały się po lesie, jakby

sto wiedźm zgromadziło się na harce z szatanami, bo w głosach tych brzmiała radość piekielna i szal opętania, który tak przenikał wszystko dokoła, że Ładon tylko czekał kiedy drzewa i krzaki, stojące przy drodze, jak czarne potwory, wezmą się za ręce i puszcza się w dziki, zawrotny taniec.

Jechał wązką, stromą ścieżyną, gdy na zakręcie jej nagle ukazał się dziad ślepy, z gęsłą, i wzięwszy za uźdę jego konia, spytał cicho:

— Czyś ty Mściwój?

— Tak, odrzekł Ładon szeptem, by głos go nie zdradził.

— Kneź Mszczuj i inni czekają cię na uroczysku, rzekł dziad i zniknął między drzewami.

Ładon jechał, myśląc nad tem, gdzie się znajduje owo uroczysko; zapewne w stronie gdzie świeci ów ogień tajemniczy, przy nim to poganie i kneź Mszczuj zgromadzali się zapewne na nocne jakieś obrzędy.

Oto ogień coraz więcej się przybliża; słyhać nawet jakiś śpiew przeciągły a smutny, który tonie, to znów głośno rozbrzmiewa wśród ciszy nocnej, jednostajnie i ponuro.

Ujrzał wreszcie obszerną przestrzeń, wolną od lasu, tak zwane gołoborze, zasypane złomami skał, wśród których miejscami tylko wznosiły się kępy sosen i świerków. Ogromne głazy, porośnięte mchem, sterczały groźnie w świetle miesiąca niby cmentarze jakichś wymarłych dawno plemion, niby grobowiska olbrzymów, niegdyś świat zaludniających.

Ładon jechał dalej. Mijał głazy, krzaki, drzewa; wreszcie w jednym miejscu ujrzał zdala wielkie koło, utworzone z olbrzymich kamieni, w pośrodku którego palił się obfity ogień, przy tem płomieniu poruszały się jakieś postacie, których jeszcze rozróżnić nie mógł.

Ładon zsiadł z konia, a pozostawiwszy go pomiędzy skałami, przybliżył się cicho, kryjąc się za krzakami jałowcu, i za odłamami kamieni.

Dokoła ogniska, wzięwszy się za ręce, płaśało kilkanaście bab starych z rozwianym siwym włosem. Trzech dziadów gęsłarzy siedziało pod drzewem uderzając w struny gęsli i śpiewając jakąś pieśń pogańską. Obok stał kamień ofiarny, a na nim trójnóg.

Wiedźmy obracały się dokoła płomienia, w szalonych podskokach, wydając od czasu do czasu dzikie okrzyki, rozlegające się daleko po lesie.

Dalej zaś, na kilkunastu kamieniach, ułożonych w półkole, siedzieli znaczniejsi z pomiędzy pogan; siwobrodzi starce, bo młodzi dawno już odstąpili starej wiary.

Ładon ujrzał tam i sędziwego Zaboja, ojca Przemkowego.

Reszta obecnych stała w cieniu, padającym od wielkich kamieni i nie mógł rozróżnić ich twarzy, widział tylko, że ich było dużo; widocznie poganie z całej okolicy zgromadzili się tu na nocne obchody.

Wiedźmy zaprzestały wreszcie swego wściekłego tańca, a na ich miejsce zbliżyła się gromada poważnych starców. Głosy ich rozlegały się w ciszy nocnej; śpiewali pieśń o nucie wolnej i smutnej, tak smutnej, jak niebo czarnemi chmurami zasnutę.

Ładon przysłuchiwał się śpiewowi, który mimowiednie przeniknął go jakimś smęttem, żalosem uczuciem, było to jakby ostatnia skarga upadającego bezsilnie pogaństwa, jedynie jeszcze przez starców podtrzymywane.

Na gruzach dziś zburzonych świątyń stoimy
I patrzymy w dal — i patrzymy, azali
Nie wstanie witeż i nieczem ze stali,
Nie pomści się za srom.

O Nya wielka, bogini zniszczenia,
Pocoś bezsilnych starców oszczędziła,
Aby patrzyli jak wszystko się zmienia
Gdy zapanował tu niemiecki bóg?

Wilk, gdy mu dzieci zabierze wróg srogi,
Po śladach zbójcę dzieci swych wytropi,
Nam, kiedy przemoc odebrała bogi,
Pozostał tylko grób!

Lecz wy, nieszczęśni, co chramy niszczyacie,
Dla was świętego już nic nie zostało,
Wy nawet ojców mogliście zburzyć,
By na nich stanął krzyż!

Potem jeden ze starców, odziany w długą, białą szatę lnianą, i podpierający się na wysokiej lasce, zakrzywionej u góry, widocznie kapłan ofiarnik, zbliżył się do kamienia z trójnogiem.

Dwóch ludzi przyniosło związane jagnię, przeznaczone na ofiarę; położono je na kamieniu i kapłan zakrzywionym nożem, zadał mu cios śmiertelny.

Lecz gdy począł oglądać wnętrze ofiary, z których robiono dobre lub złe przepowiednie, zawołał nagle z wyrazem przerażenia:

— Złe znaki, krew płynie czarna jak noc, jakieś wrogię oczy patrzą na naszą ofiarę!

A po chwili zawołał grobowym głosem:

— Wróg jest wśród nas!

Zrobiło się zamieszanie tłum skupił się dokoła kamienia, strwożony; rzucono się wreszcie w różne strony, szukając nieprzyjaciela, którego obecność zepsuła ofiarę. Każdy spoglądał na drugiego z nieufnością, podejrzewając się nawzajem.

Ale wkrótce rozległy się dzikie okrzyki wpuśród skał:

— Jest, jest, pojaliśmy go! Nie ujdzie nam teraz, szpieg przekłety!

Wszystkie oczy zwróciły się na pojmanego Ładona, którego wtrącono w środek koła. Widział dokoła siebie twarze groźne i oczy dziko świecące. Z pośród gromady ludu wyszedł człowiek i przystąpił do niego. Poznał w nim Masława i został przezeń poznany.

— Znów on! — zawołał Masław, zajrzawszy mu w oczy. — Czyś zmartwychwstał? Jaki bies stawia cię wiecznie na mej drodze?

A potem obrócił się do siedzących na kamieniu starców:

— On jest z dworu Bolesława, który go zapewne przysłał, by nas szpiegował. Trzeci raz już spotykam go na mej drodze i żądam, by śmiercią był ukarany.

— Tak, tak — zawołali inni — sąd nad nim zrobić!

Powstał gwar niezmierny, zewsząd rozlegały się okrzyki i przekleństwa.

Po nad to wszystko dał się słyszeć spokojny głos pojmanego:

— Nie macie prawa mię sądzić, bo tylko król jeden posiada prawo sądu nad rycerzami ze swego orszaku!

Lecz odpowiedział mu tylko szyderczy śmiech Masława.

— Kneź Mszczuj, jako najstarszy, niech rozstrzygnie, czy mamy go zabić bogom na ofiarę, czy też uwięzić tylko? — ozwał się jeden ze starców.

— Co tu sądzić? — zawołał dziko Masław — złowiliśmy go, gdy nas szpiegował, a więc pod noż z nim! Nie potrzebujemy czekać sądu knezia!

Tymczasem ostrożniejsi mówili:

— Nie można go zabijać; król srodze by się pomścił za śmierć swego rycerza! On o nich dba, jak o oko w głowie!

— A jeśli nas wyda? — odpowiadali inni.

— Pod noż go, pod noż ofiarny! — rozlegały się głosy.

Dokoła stali drwale z puszczy, wszystko ludzie olbrzymiego wzrostu, obrośnięci, o dzikim wejrzaniu, odziani w skóry; byli oni oddani Masławowi, wszyscy też domagali się śmierci jeńca.

Starcy jednak składający radę, jeszcze się wahali, bali się zemsty króla.

— Słuchajcie mię! — ozwał się nagle Masław — powiem wam gadkę: Razu jednego człowiek znalazł gniazdo czajki i chciał jej i jej pisklętom poukręcać głowy. Lecz czajka zaczęła się prosić: „Zlituj się człeczko, nie zabijaj nas,

jam ci nic złego nie zrobiła!” Człowiek zlitował się i zostawił czajkę w spokoju. Ale zdarzyło się, że wróg najechał kraję; człowiek musiał, jak wilk chronić się w łozie. Jednego dnia, kiedy tam siedział ukryty, nieprzyjaciół przechodził w pobliżu. Otóż czajka zaczęła zataczać koła nad łożą, gdzie się zbieg ukrył, wydając żalosne krzyki. Wróg wówczas zawołał.

„On jest tam!” poszedł i zabił człowieka. — Skończyłem.

— Masław dobrze mówi — ozwali się niektórzy — jeśli ma nas wydać, raczej go zabijmy!

— A wy jak powiadacie, kneziu Mszczuju? — ozwał się jeden z rady do starca, siedzącego w środku półkola. Śmierć czy życie.

Śmierć! — odrzekł twardo kneź Mszczuj.

— Śmierć — wyrzekł również brat jego, kneź Odyłlon i inni.

Obaj kneziowie bracia siedzieli w pośrodku koła obradnego i obaj byli siwymi starcami, na pierwszy rzut oka zupełnie do siebie podobni. Lecz kto się im bliżej przyjrzał, dostrzegł pomiędzy nimi różnicę znaczną. Kneź Mszczuj, choć starszy o lat parę, trzymał się prosto, był wysoki i silny, wzrok miał ostry a na obliczu jego malowała się kamienna surowość. Długa, biała broda spadała mu na pierś szeroką i obrośniętą, czoło wysokie, obnażone już z włosów, jeszcze się wyższem zdawało, rysy, jak z granitu wykute, nigdy prawie nie rozjaśniały się i nie zmieniały swego groźnego wyrazu; jego ściągnięcie brwi było strasznem. Zwano go pospolicie: Kneź-wilk, a sławnym był ze swej srogości. Brat jego, Odyłlon, bardziej był pochylony ku ziemi, nieszczęścia nadały obliczu jego wyraz ponurego bólu, a przytem jakiegoś zniechęcenia. Gdy graf Gero wymordował na uczcie trzydziestu książąt słowiańskich, padli tam także wszyscy trzej synowie Odyłlona, wraz z dwoma starszymi synami knezia Mszczuja. Od tej pory choć już upłynęło lat wiele, nie nie mogło pocieszyć knezia Odyłlona i był jak dąb, któremu obrabano konary. Siwe włosy spadały mu na czoło, poorane głębokimi zmarszczkami, a oczy błędziły często gdzieś daleko, jakby myślą uciekał w ubiegłe, szczęśliwsze czasy. Tacy byli obaj kneziowie: Mszczuj i Odyłlon.

(d. c. n.)

STRASZNY WYŚCIG.

Cykliści europejscy narzekają nieraz, że psy wioskowe wypadają na nich i kasaają boleśnie, choć niezbyt niebezpiecznie. Jakże się muszą śmiać z tych narzekań odważni cykliści afrykańscy, którym nie tak niewinne grożą spotkania.

Jeden z mieszkańców Kaplandu, zapalony cyklista, oddalił się o kilkanaście kilometrów od swojej osady i niespodzianie ujrzał dwa lwy i lwicę, goniące za nim.

— „Włosy stanęły mi na głowie!” — opowiadał potem — zawróciłem natychmiast, i puściłem się w drogę powrotną, a te trzy olbrzymie bestye w podskokach sunęły za mną.

Nieraz brałem udział w wyścigach, ale, możecie mi wierzyć, że nigdy mi tak nie szło o wygraną, jak w tym strasznym wyścigu, w którym chodziło o moją skórę. Szczęściem znałem już dobrze tę powrotną drogę i wiedziałem, gdzie są najlepsze ścieżki. Lwy goniły mnie zajadłe, ale nie z takim zapalem, jak pieszego lub konnego jeźdźca. Snać dziwił ich i straszył trochę niezwykły widok roweru.

O kilkaset kroków od osady lwy się zatrzymały, a ja wyczerpany, zaledwie zdołałem ostrzedz sąsiadów o tych groźnych wrogach. Z łaski Boskiej starczyło mi sił i żaden przypadek nie naraził na wywrócenie się, ale wyścigu tego nie zapomnę aż do śmierci.”

ZE ŚWIATA.

Balonem przez Saharę. — Za Andréem. — Wpływ muzyki na zwierzęta.

Trzech oficerów armii francuskiej, mianowicie: porucznik Hurst, dyplomowany żeglarz powietrzny Leon Dex i oficer inżynierii Dibos, przedstawili radzie miasta Paryża projekt przelecenia balonem ponad pustynią Sahary. Miejscem wylotu ma być przystań Gabu, a dopiero nad brzegami Nigru balon miałby spuścić się na ziemię. Śmiali areonauci liczą, że więcej stale w tej części Afryki wiatr północny, ułatwi przeprawę. Balon nazywa się „Leon Dex” i ma objętości około 13,000 kubicznych metrów. Czas żeglugi napowietrznej obrachowany jest na 40 do 60 dni.

Znany podróżnik po lodowatych morzach północy, Sievert-Bråkmoe, puścił się w tych dniach w drogę na statku swym „Nora” z przystani na Szpitzbergu, dla odszukania Andreego, o którym mimo żywego zajęcia ogółu, dotychczas żadna nie nadeszła wiadomość, i bodaj uzasadnioną jest obawa, że nieustraszony żeglarz napowietrzny, który zamierzał dotrzeć aż do samego bieguna, uleść musiał w tej podróży jakiemuś nieszczęściu.

W Anglii robiono doświadczenie, aby się przekonać, jak oddziaływają dźwięki muzyki na dzikie zwierzęta. Wybrano do prób: skrzypce, piszczałkę i flet. Skrzypce podobają się wszystkim zwierzętom bez wyjątku: odwracają one głowę w kierunku, skąd pochodzą tony; lew wymachiwał ogonem, lwica krążyła po klatce, biały niedźwiedź siadał na tylnych łapach i mruczał z widocznym zadowoleniem; nawet węże poruszały w takt głowami i syczały radośnie; tygrys przysłuchiwał się, podniósłszy łapę do góry. Natomiast dźwięk piszczałki doprowadził wszystkie zwierzęta do wściekłości. Słoń stulił uszy i odszedł jak mógł najdalej; struś trzepotał skrzydłami i chciał uciekać; tygrys chłostał ziemię ogonem: węże wily się jak w bólach. Lecz tony fletu uspokoiły odrazu to ogólne wzburzenie. Zupełną obojętność na muzykę objawiły tylko tarantule, żółwie i okularniki. Wszystkie inne zwierzęta okazywały niesłychaną wrażliwość na dźwięki fałszywe. Gdy struna w skrzypcach pękła, wilk podłożył ogon pod siebie, skulił się i ukrył w najdalszym kącie klatki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Sto lat temu nad Nilem (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Ś. p. książdz Franciszek Krupiński (z portretem). — Noc sierpniowa. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Straszny wyścig (z ryc.) — Ze świata. Dodatek: Kurczę i lis, wiersz przez Adama Pluga (z ryc.) — Pożyteczni przez Zofię Ziemborską. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

KURCZĘ I LIS.

Raz nierozważne jedno kurczę małe,
Od sióstr i braci swych stadka
Odbiegło w pole, nie bacząc zuchwale,
Że mu zabraniała matka.
Nawet mu wcale nie powstało w głowie,
Co ona biedna uczuje, co powie,
Gdy go wśród innej dziatwy nie zobaczy?
A ta nieboga biegając w rozpacz,
Całe podwórko napełniała krzykiem:
— O ja nieszczęsna! jak się z lisem spotka...
Lub innem zwierzęciem dzikiem,
To marnie zginie luba ma pieszczotka!...
Jakoż istotnie lis mu zaszedł drogę.
— A! witam, witam! — rzecze ucieszony,
Jakżem szczęśliwy, że cię widzieć mogę!
Co za pomyślny wiatr przywiódł w te strony,
Ciebie, moje ty kochanie?
— Czas taki śliczny! więc mimo gđakanie
Upartej matki, co mię ciągle trzyma
W nudnym kurniku, — tu, za jej oczyma,
Wybiegłem sobie poigrać na pole;
Bo chcę mieć własną swą wolę! —
— Ja też cię za to całem sercem chwale,
Gdyż dziś bez ciebie byłbym nie jadł wcale, —
Rzekł wilk i kurczę, co żałośnie kwili,
Schrupał smacznie w tejże chwili.

Adam Pług.



POŻYTECZNI.

Czy znacie dzieci państwa R? Jeśli nie, to wielka szkoda, bo moglibyście nie jednego nauczyć się od nich. Może ich kiedy spotkacie, tymczasem zaś opowiem o nich choć trochę.

Jest ich troje: Staś, Lodka, i Marylka.

Staś, wysoki szczupły blondynek, ma ogromne zamiłowanie do geografii i wybiera się, jak dorośnie, opłynąć świat cały.

W tym celu uszył już sobie na drogę z grubego płótna pugilares i składa do niego połowę otrzymanych pieniędzy.

Oprócz tego, zbiera rozmaite kolorowe szkiełka, stare guziki, paciorki, nawet kolorowe skrawki papieru,

wszystko to bowiem chce ofiarować rozmaitym „dzikim dzieciom”, które spotka w podróży.

W domu śmieją się z tego potrosze, ale każdy przyznać musi, że uczeń z niego doskonały.

Idąca z kolei Lodka, właściwie nazywa się Leokadyą; ale że ogromnie jest żywa, że wszędzie jej pełno i w bieganiu prześcignąć się nie da, przezwano ją żartami „Lodką” i tak już chyba na całe życie zostanie.

Jest to szczupła brunetka, z krótko obciętą czuprynką, która co chwila wysuwa się uparcie z pod okrągłego grzebyka i spada Lodce na oczy. Marzy ona o nauczaniu się ogrodnictwa i na rozmaitych ziołach i warzywach zna się wcale nieźle, choć ma dopiero lat dziewięć.

Marylka, najmłodsza z rodzeństwa tej wiosny właśnie zaczęła rok siódmy. Za parę tygodni ma się zabrać do książki, tymczasem zaś robi bardzo porządnie pończochy dla babuni na imieniny.

Dzieci te nazwałam pożytecznymi, bo istotnie zasługują na to.

Po 1) lekcye swoje odbywają wzorowo, po 2) bardzo porządnie obchodzą się z ubraniem i książkami, a po 3) mają pewnie bardzo dobry zwyczaj, nie wiem nawet skąd nabyty.

Oto po lekcjach i spacerze biegają do starszych i pytają bardzo poważnie, czy niema dla nich jakiejś roboty. Nazywają to sobie „pomaganie starszym” i tak się już przyzwyczaiły, że jednego dnia w zajęciach tych nie chybą.

— Moja mamusiu — mówi Staś — ja się uczyłem dla siebie, spacerowałem także dla siebie, a teraz chciałbym co dla mamusi zrobić... i ja... i ja — dodają dziewczynki.

Zawsze też znajduje się jakieś zajęcie, którem naprawdę mali robotnicy przynoszą starszym prawdziwy pożytek.

Lodka np. miała zawsze kawę, a stara niania, która to dawniej robiła, uprzedzie tymczasem jedno pasmo więcej ciepłej wełny na domowy użytek; ona też podlewa kwiatki, a służąca, mająca to zrobić, ceruje tymczasem pończochy. Lodka przyszywa oderwane guziki — a mama robi za to inną pożyteczną robotę, lub odpoczywa nieco po pracy. I tak codzień nieznacznie, jakąś niewielką na razie załatwiając robotę, przysługuje się nią naprawdę.

Staś znowu zszywa ojcu gospodarskie kwity, czytuje dziadzi gazety, klei mamie formy i torebki, a nawet robi znakomite siatki na sery i gomółki.

I Marylka, choć mała, nie daje się wyprzedzić. Trzyma babuni motki z bawełną, ściera kurze w szkolnym pokoju, zbiera w pudełko okruszynki dla wróbelków, układa pisma, gazety i t. d.

I tak wszystko troje spełniają codziennie te drobne a potrzebne posługi domowe; weszło już w użycie układanie ich dla dzieci.

Czyż więc nie słusznie Stasia, Lodkę i Marylkę nazwałam pożytecznymi?...

Z dnia na dzień, z roku na rok wzrastając w siły i wprawę, wykonywać będą coraz ważniejsze prace i z pożytecznych dzieci, wyrosną z czasem na pożytecznych ludzi.

Chciałabym bardzo, byście je kiedy poznali, a tymczasem choć trochę naśladować je zaczęli. Czy dobrze?

Zofia Ziemborska.

DŁUG Wdzięczności

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Rycerskie to było dziecię, ten Janek Sęp; opowiadania bojów przenosił nad wszelkie inne opowieści, a najmilsze zabawy jego były to turnieje, bitwy i szturm do warowni i fortecy.

Zbierał rówieśników swoich, synów dworzan i sług zamkowych, ustawiał, jak wojsko, losami ciągnął, którzy będą przedstawiali swoich, a którzy Turków, lub Tatarów. Zdobylwał zamki, warownie, lub bronił takowych, a były nie-mi krzaki i drzewa w ogrodzie.

Wśród takich to opowiadań i zabaw wzrastał ten rycerski chłopiec. Dziadek, patrząc na to pacholę rozmiłowane w żołnierskich zabawach, często miał łzę w oku a nie zgadywał nikt, że jeszcze w dzieciennych latach czeka Janka ciężka przygoda, która wiele, wiele łez i bólu będzie kosztowała tych, dla których był jedynym uko-
chaniem na ziemi...

Tymczasem chłopiec uczył się także wielu nauk, wreszcie i jazdy konnej, pod okiem starego i zaufanego dworzanina imię pana Jakóba Rogali.

Z jakąż przyjemnością pod okiem i w towarzystwie jego, bujał po szerokich stepach podolskich!...

* * *

Czas biegł szybko i Janek rósł i rozwijał się bujnie. Coraz dzielniejsze dosiadał konie, ojcowską szablę podnosił już bez pomocy dziadka, który, jakby siłę swoją oddawał wnukowi, sam tracił ją z dniem każdym i pochy-
lał się coraz bardziej. Janek Sęp miał już wreszcie skończonych lat dwanaście.

Zawitała wiosna wczesna i ciepła. Wody ze stopionych śniegów spłynęły już do stawów i rzek — step się zazielenił i gdzieś tam umiał już nawet pierwszym kwieciami. Ptaszki rade ciepłym promieniom słonecznym śpiewały wesoło po sadach i ogrodach, pszczoły i rozliczne skrzydlate muszki, rozpościerały zmartwiałe zimnem skrzydła i brzęcząc wylatywały ochotnie ze swoich zimowych kryjówek. Cała przyroda, zbudzona ze snu zimowego, radowała się życiem, ciepłem i wiosną.

Janek także szczęśliwy i wesół, jak ptak na swobodzie, oddawał się z radością ulubionej rozrywce, konnej jeździe. Nie było dla niego większej radości jak dosiąść rączego konia i w towarzystwie pana Jakóba wyjeżdżać w step, a zapuszczać się jak można najdalej. Nierzadko pół dnia minęło, nim pan Jakób namówił wychowanka swego do powrotu do domu. Matka czasem gładząc pie-
szczośliwie bujne, jasne jego włosy, robiła synowi wymówki za to upodobanie w zbyt dalekich wycieczkach.

— Mój Janku, ty nie wiesz jak ja się nieraz niepokoję, gdy ciebie długo nie ma z powrotem ze stepu, jakie mi smutne myśli snują się po głowie!

— Dlaczego, mateczko? — zapytywał — patrząc matce w oczy, wszak pod opieką pana Jakóba nic złego stać mi się nie może.

— Zapewne moje dziecko, ale my tu mieszkamy na rubieży kraju, tak często słyszymy, że jakiś oddział Tatarów wpadł nocą na step, uprowadził bydło i konie z pastwiska, nie rzadko i ludzi pilnujących, i nikt ich nawet nie widział, w którą stronę umknęli.

— Ach, jak jabym chciał zobaczyć kiedyś Tatarów — zawołał chłopczyna — i oczy zabłysły mu ciekawością.

— Niebaczne dziecię — zgromiła go matka — nie zastanowiłeś się nad tem coś wyrzekł... każde pojawienie się Tatarów prowadzi za sobą szkodę wyrządzoną ludziom, rozlew krwi... jasyr...

Janek ucałował rękę matki w pokorze, ale wyjeżdżając tego dnia na zwykłą wycieczkę konną z panem Jakóbem, rzekł mu:

— Ach, takbym chciał kiedyś zajrzeć Tatarom w oczy...

Pan Jakób uśmiechnął się pod wąsem i szepnął:

— Rycerskie dziecię, nieodrodny syn swego ojca, już w dzieciństwie zachciewa mu się harców z Tatarami.

Raz, podczas takiej wycieczki konnej spełniło się życzenie Janka: zobaczył Tatarów, a nawet dwóch — wprowadził tylko uciekających, ale zawsze była to radość dla niego wielka. Niespodziewanie nadjechali na nich blisko nawet bardzo. Spostrzegli zdala, że w jednym miejscu, bujne trawy pochylają się i falują jak gdyby z dołu czemś poruszane; zaciekawieni, chcieli się przekonać co to było, pocisnęli konie i zbliżyli się pędem. Wtem, w jednej chwili, z traw tych wysokich, wysunęło się dwóch jeźdźców, widocznie poprzednio czatujących na coś. A tak byli blisko, że Janek dojrzał wzrok ich dziaki, którym go obrzucili i jego ślicznego wierzchowca, i jak wiatr pomknęli stepem w kierunku Dniestru. Janek chciał koniecznie ścigać ich, ale rozważny i doświadczony pan Jakób nie pozwolił na to, utrzymując, że to może być zasadzka, w którą ci dwaj wprowadzić ich pragną. Z wielkim żalem Janka powócili do domu, zostawiając w spokoju uciekających Tatarów.

Od tej pory pan Jakób, wyjeżdżając konno z Jankiem, brał pistolety w olstry i kindżał turecki, dar pana starosty, wsuwał za pas.

Zaledwie w tydzień, od dnia gdy widziano Tatarów owych, stało się straszne nieszczęście!

Jak zwykle wyjechał pan Jakób z Jankiem na ulubiony spacer. Zapuscili się dość daleko w step, i właśnie, gdy pan Jakób naglił już do powrotu chcącego pobujać jeszcze trochę młodzieniaszka, z niedalekich zarośli w jednym mgnienu oka, wysunęło się kilkunastu Tatarów na koniach.

Janek chciał natrzeć koniem na nich, lecz pan Jakób przerażony, chwycił jego rumaka za lejce i silnym szarpnięciem cofnął go wstecz, zasłaniając chłopca sobą.

Tym razem Tatarzy nie myśleli o ucieczce, lecz śmiało i szybko zwrócili się na naszych jeźdźców. O odwrocie mowy nie było, w jednej chwili otoczyli ich kołem, i choć pan Jakób celnymi strzałami z pistoletów powalił dwóch z konia, a kindżałem ranił kilku naciera-

jących na niego, otoczony był tak przeważającą siłą, że pomimo rozpaczliwej obrony, pomimo cudów waleczności, obronić Janka nie mógł! W chwili, gdy on sam cięty pałaszem przez głowę, zwałił się z konia na ziemię, Janek, związany i skrępowany tak silnie, że ani ręką ani nogą ruszyć nie mógł, leżał już na koniu Tatarzyna.

Rozpacz biednego chłopca była nie do opisania. Widok leżącego we krwi pana Jakóba, do którego bardzo był przywiązany, wyrwał mu z piersi krzyk rozpaczliwego bólu! Tatar, trzymając go na siodle przed sobą, silnem uderzeniem w głowę zmusił do milczenia, pociemniało mu w oczach i na chwilę nie wiedział co się z nim dzieje... A Tatarzy tymczasem swoich zabitych zabrali na konie, wierzchowce Janka i pana Jakóba związali lejcami i przymocowali do swoich, potem pomknęli w cwał przez step.

Kiedy biedny Janek, pieszczony jedynak, przyszedłszy do przytomności, zrozumiał, że jest uprowadzony przez Tatarów, i że skoro pan Jakób zabity został, nikt nawet nie doniesie do domu, co się z nim stało, nikt przyjsć mu w pomoc nie może, że... że... czeka go straszny jasyr tatarski.

— Biedny dziadek! Och, nieszczęśliwa matka! przysły mu teraz jej słowa na myśl... i wszystko co kiedy słyszał o niewoli tatarskiej, błyskawicą przesunęło mu się przez głowę... więzy, głód, praca nad siły, garść zgniłej stomy na posłanie, bezlitości i srodzy stróże... Zakreśliło mu się w głowie, pociemniało w oczach, bezwładny pochylił się z konia. Tatar szarpnął silnie za sznur, którym był związany, i nieszczęśliwy Janek uczuł ból dotkliwy, lecz nie jęknął nawet, tylko wyprostował się, Tatarzy lecieli jak wiatr. Nie obawiali się pościgu, lecz chcieli dopaść jak najprędzej brzegów Dniestru, przeprawić się i czuć się bezpieczni ze swoją zdobyczą.

* * *

W tym czasie, gdy Janka uwożą Tatarzy, na zamku pana starosty oczekują spokojnie powrotu jego z panem Jakóbem z dalekiej przejażdżki. Lecz gdy do południa nie wrócili, gdy minęła godzina obiadowa, a ich nie było, matka zaniepokoiła się, uprosiła dziadka, by wysłał konnego w step odszukać ich i upomnieć, że nie powinni dziadkowi i matce tak długo dać czekać na siebie. Pan starosta nie powiedział biednej matce, że już wysłał gońców, gdyż sam jest niespokojny, co tak długo wstrzymuje ich powrót. Ale gdy posłaniec nie wracał, wysłano drugiego... Już dziadek i matka nie ukrywali przed sobą miotającego nimi niepokoju!

(d. c. n.)

SZARADA.

*Pierwsze jest zgłoską, drugie z pierwszym ku wygodzie
Służy wielu roślinom w polu i w ogrodzie,
Trzecie z czwartem na statkach w dość znacznym zapasie,
Przezorni marynarze mają w każdym czasie.
Pierwsze trzecie i czwarte, to swojska krzewina,
Co nam aż dwóch pieśniarzy naszych przypomina,
Wszystko wraz jest niesławą naznaczone imię,
Złego obywatela w starożytnym Rzymie.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Wichurę dla czytelników Wieczorów.

Ułożyć 13 wyrazów, którychby pierwsze litery złożyły imię i nazwisko współczesnej autorki. Znaczenie wyrazów: 1) Słynna miejscowość pod Humanem. 2) Największy gwiazdozbiór. 3) Taniec hiszpański. 4) Miasto w Syberii. 5) Bogini grecka. 6) Współczesna poetka. 7) Jezioro w Rosyi. 8) Nazwisko trzech królów pols. 9) Góry w Saksonii. 10) Drogi kamień. 11) Syn Jakóba. 12) Wyspa na morzu Śródziemnem. 13) Rzeka we Włoszech.

Sylaby: A—ar—bin—dy—dan—erz—fi—fan—fro—go—ga—ir—jów—ka—cka—ka—ko—kor—kuck—me—no—ne—no—pni—o—o—on—rion—ru—sy—sy—ta—wa—za—zo.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

p. A. W.



W załączonym kwadracie liczbę 22 rozłożyć w 13 kratkach w ten sposób, aby w rzędach poziomych i pionowych wypadła liczba 6, a na krzyż 4.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34.

Zagadki: W o d a.

Wiersze przerobione z prozy.

Miłe mi burze i śnieżne zamiecie,
Miły ojczysty grom i błyskawice,
Bo świat szeroki i pięknie na świecie,
Lecz niema ziemi nad moją ziemię.

Syrokomla.

Łamigłówni sylabowej:

1) Abo. 2) Lena. 3) Kama. 4) Alaryk. 5) Izaak. 6) Ohio. 7) Słowacki. 8) Waszyngton. 9) Morea. 10) Opal. 11) Tamiza. 12) Orzeł. 13) Nordcap. 14) Indy. 15) Emanuel.

Alkaios w Motonie.

Skrzynka do listów.

Pani S. B. Nadesłana robótkę ośmioletniej jej córeczki otrzymaliśmy. Podzielamy też w zupełności zdanie jej nie tylko odnośnie w naszczepianiu w młode serduszek dzieci miłości bezwzględnej prawdy, ale również potrzebę wyrabiania w nich poczucia samopomocy, co przy poważnych obowiązkach życia, jakie ich czeka, jest jednym z pierwszych warunków bytu. Brak bowiem woli i samodzielności daje się następnie często smutnie odczuwać. Za życzliwe wyrazy dziękujemy, koszyczek jest do odebrania.

Miły liścik Szarotki zyskał odrazu sympatyę naszą dla niej, i wdzięczny jej pseudonim zapisany jest w liście stałych naszych korespondentów. Za bardzo dobry objaw uważamy, że Szarotka polubiła tak naukę i życie koleżeńskie, iż bez żadnej przykrości wraca do miasta, porzucając swobodę wiejską, bo gdy bez przymusu zabieramy się do pracy łatwiej też otrzymujemy pożądaną z niej korzyść. Braciszki ze wstępnej klasy, oraz maleńkiej siostrzyczce przesyłamy pozdrowienia.

Witamy Słonia z Nubii z powrotem w Warszawie i życzymy jaknajlepszego powodzenia w nowo rozpoczynającym się niezadługo roku szkolnym. Jaskółka wkrótce odpowie. Rozwiązanie dobre.

Tadziowi W. Dopiero na tysiąc dwieście lat przed Chr. został wyrób i użytek żelaza wprowadzony z Egiptu do Grecyi, i gdy w kraju Faraonów znanym już był ten kruszec od 6 tysięcy lat, mieszkańcy Europy posługiwali się do owej pracy narzędziami z brązu. Epokę brązu poprzedza epoka kamienna, gdzie miejsce kruszczów zastępował twardy kamień, krzemieniem zwany. Wyroby krzemienne z owych zamierzchłych czasów znajdowane w wykopaliskach, widzieć możemy po muzeach archeologicznych czyli zbiorach starożytności.

Jak zawsze, tak i tym razem odczytaliśmy z rzeczywistości przyjemnością serdeczne słowa przyjaźni, z jakimi zwraca się do nas Aleksander W., a wspomnienia jego z lat wczesnego dzieciństwa i pierwszych nauk są dla nas miłym obrazem przypominającym nam również niejedną chwilę z wiele już dalszej naszej przeszłości. Łamigłówni przejrzymy zasyłając tymczasem przyjazne pozdrowienia.

Podróżnikowi. Wyspa na której żył samotnie przez długie lata znany nam z powieści Robinsena Kruzo nazywała się Juan Fernandez i leżała na Oceanie Spokojnym. Ale nasz Podróżnik nie odnajdzie już jej nigdy, bowiem w czasie nagłego wybuchu ognia wulkanicznych drobna ta ziemia, zamieszkała jedynie przez rybaków, zapadła się tak zupełnie, że śladu po niej nie zostało.

Maryni Z. Najlepszego tuszu rysunkowego dostarcza nam ciągle jeszcze przemysł chiński, który tak pilnie strzeże tajemnicy tego wyrobu, że wszelkie próby naśladowania dorównać mu nie mogą. Głównie użytym tu materiałem mają być podobno sadze, zbierane z porcelanowych kloszów, nakrywających płonące lampki w wielkim naczyniu napelnionem wodą. Przesiane i ugniecione sadze owe wraz z czystym klejem rybim i jakąś trzecią, nieznaną przymieszką, bywają gotowane i suszone po wiele razy i na rozmaite sposoby, aż ugniecione w laski, otrzymują tę twardość i połysk, a zarazem ową niezmierną podzielność, która jest główną zaletą prawdziwego tuszu chińskiego.

Nie myli się Czarny rycerz, że znany już jest chemikom sposób sztucznego otrzymania prawdziwych brylantów. Wyrób ten wszakże byłby tak kosztowny, że nie zniżyłby ceny prawdziwych drogich kamieni, zatem niema racji zastosowania go w przemysle.

Nie dla wszystkich Anulko jesień jest smutną porą roku, posiada ona, szczególnie w kraju naszym, wiele piękna i wdzięku, ale trzeba bez uprzedzenia umieć patrzeć w około siebie.

Własnego układu łamigłówni przesłali nam: Orzeł karpacki, Samotnik, Julka M., Cesia i Zochna oraz Kwiat paproci; dobre zaś rozwiązanie: Marychna, Polny kwiatek, Sabinka N., Władzio R. i Pilny czytelnik.

Wyszedł z druku i sprzedaje się po rub. 1 kop. 50 z przesyłką i po rub. 1 kop. 30 bez przesyłki, dla prenumeratorów „Przeglądu Pedagogicznego” po rub. 1 kop. 20 i rub. 1.

METODYCZNY KURS NAUK

Rok I i II.

Ułożony przez J. Wł. Dawida, W. Osterloff'a i Anielę Szyg.

Zawiera: Naukę o rzeczach. Naukę czytania i pisania, arytmetykę, kaligrafię.

Wydawnictwo „Przeglądu pedagogicznego”. Skład główny w Administracji Przeglądu — ul. Hortensya N. 2.